

Anna Augustynowicz przygotowuje niezwykłego „Króla Leara”

Bóg Ojciec i kobiety

Anna Augustynowicz – sprawująca dyrekcję artystyczną w szczecińskim Współczesnym – od lat spełnia się też reżysersko na scenach całej Polski. Jej najnowszym w tej mierze przedsięwzięciem będzie dzieło z najwyższej półki światowego dramatu – „Król Lear” Szekspira. Przedstawienie przygotowywane jako koprodukcja Teatru im. H. Modrzejewskiej w Legnicy z Teatrem J. Kochanowskiego w Opolu.

Szczecińska reżyserka ma wiele udanych doświadczeń w tego typu koprodukcjach – również w Szczecinie, że wspomnę „Ślub” Gombrowicza, też z teatrem opolskim zrealizowany – można więc przypuszczać, że i to będzie udane nie tylko pod względem organizacyjnym i logistycznym, ale przede wszystkim artystycznym. Są zresztą dowody, że taka wspólna energia twórcza – dwóch teatrów – owocuje przedstawieniami świeżymi i oryginalnymi.

A znając dorobek artystyczny i temperament reżyserski Anny

Augustynowicz, można się w tym przypadku spodziewać spektaklu, który uruchomi tę energię dodatkowo – wydobywając z klasycznego tekstu nowe pokłady znaczeń i emocji.

Jak udało nam się dowiedzieć, emocje mogą się tu zacząć już na podstawowej płaszczyźnie inscenizacyjnej. Jako że w tym wielkim dramacie o władzy, ale też dramacie na swój sposób rodzinnym, w którym główne role – poza królem Learem – grają jego dwie córki, ale na scenie dominują bohaterowie – mężczyźni, Anna Augustynowicz

powierzyła wszystkie role – prócz samego Leara – kobietom!

To oczywiście nawiązanie do klasycznego teatru szekspirowskiego, w którym grali wyłącznie mężczyźni, ale z punktu widzenia sensu, do którego chce dotrzeć Augustynowicz, stanowi to kwestię drugorzędą.

Reżyserka zamierza bowiem wyczytać z „Leara” opowieść wielopiętrową, będącą grą nie tyle z tożsamością płci, ile wieloznacznością ról społecznych, politycznych, kulturowych – ale i rodzinnych. W których pozycja Ojca – Władcy – Boga Ojca (ów religijny odnośnik będzie tu również istotny, m.in. poprzez nawiązania do tajemnicy Trójcy Świętej) – Pana naszego życia – sprawia, że cały podległy mu świat staje się „kobieco” uległy, skazany na podrzędność, ale i na intrygi, i na próby wyzwolenia się

spod tej władzy. Wszystko to zaś w szczególnych pętach – okowach miłości, do Tego, który Sprawuje Władzę nad Nami. A że „Król Lear” jest też u Szekspira opowieścią o starości i upadku, przedstawienie Augustynowicz podążać ma i tym tropem.

Trzeba w tym miejscu dodać, że jedyną rolę męską – tytułową – zagra gościnnie Mirosław Zbrojewicz – aktor Teatru Polskiego w Warszawie – popularny dzięki filmowi odtwórca ról charakterystycznych (zwykle bandyty – nierzadko w komediowym ujęciu, lub czarnego charakteru w ogóle). Co sprawia, że jego znakomite predyspozycje i osiągnięcia teatralne są mniej znane. Za to Lear może być w jego dorobku rolą szczególną.

Tak czy owak jest się z czym mierzyć, życzymy więc szczecińskiej inscenizatorce nie tylko artystycz-



Fot. Piotr NYKOWSKI

nych spełnień przy okazji realizacji tego dramatu w nietrywnych czasach pandemii, ale i wymiernego sukcesu, którym będą mogły się cieszyć i eksplorować go twórczo teatry w Legnicy i Opolu.

Dodajmy tylko na koniec, że autorem muzyki do przedstawienia jest również szczeciński twórca – Jacek Wierchowski.

Premiera przewidziana jest na 12 września tego roku w Legnicy. (al)

ZACHODNIOPOMORSKIE PREMIERY

A oni wciąż przychodzą



Zanetta Gruszczyńska-Ogonowska (Dina) i Wojciech Rogowski (Wiktor)

Fot. Izabela ROGOWSKA

Kiedyś się mówiło, że jest coś takiego jak słowiańska dusza. Mówiło się tak zresztą głównie na zachodzie Europy, a już szczególnie we Francji – w odniesieniu do Rosji i wszystkiego, co się Francuzom wydawało Rosją, a więc i Polski po trosze. Dusza słowiańska (nie polska! tę zwerbowało niedawno do walki politycznej) widziana z tej perspektywy przejawiała się za pomocą melancholii głównie, ale z domieszką smutnego uśmiechu, lubiła sobie poszaleć, ale tak na ogół była łagodna i cicha. A mościła zaś sobie ona gniazdko zarówno w ciałach arystokratów, jak i tak zwanych zwykłych ludzi.

Oglądana przez ten pryzmat sztuka Siemiona Złotnikowa „Przyszedł mężczyzna do kobiety” wydaje się kwintesencją duchowej, rosyjskiej słowiańszczyzny: ludzie w niej zwyczajni, ich sprawy też zwykłe, choć uczucia gorące, a westchnienie, które towarzyszy obserwacji ich spotkania, miesza się ze śmiechem, i to wcale nie tak znów smutnym.

Takie spojrzenie na człowieka nazywane też bywa po prostu ludzkim. Bo smutek nie jest tu ostateczny, natomiast śmiech jest wyrozumiały i bez kpiny.

Nic dziwnego, że słodko-gorzka komedia Złotnikowa, urodzonego w 1945 roku w Samarkandzie, podobała się nie tylko Rosjanom – choćby z tego względu, że były to czasy wielonarodowego ZSRR – a i Europejczykom, ale także w USA, Meksyku i Japonii. U nas zaś podobała się od razu (prapremiera polska odbyła się w 1986 w Łodzi) i podoba do dziś! Wystawiano ją już kilkanaście razy, a przedstawienie w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym,

o którym chciałbym tu napisać, jest jej najnowszą polską realizacją.

Ale że i w Teatrze Współczesnym miało premierę (w roku 2016), i to tak udaną, że spektakl ów, po czterech latach eksploatacji wspomaga właśnie swój macierzysty teatr w trudnych czasach (po?) pandemii, trafiając do bieżącego repertuaru, skorzystam z okazji i na koszalińską inscenizację spojrzę też poprzez szczecińską.

Zacznijmy od tego, że tak w Koszalinie, jak i w Szczecinie – spektakl grany jest na scenie kameralnej (we Współczesnym – była to najmniejsza z jego scen – Teatr Mały, w Bałtyckim – niewielka Scena na Zapleczu, będąca w tym przypadku chwilę Sceną Inicjatyw Aktorskich). Ale poza tym – oba dość mocno się różnią.

Owszem, spaja je owa „słowiańska dusza” oryginału: i tu, i tam, do samotnej (porzuczonej) kobiety Diny, żyjącej szaro swoim szarym życiem, przychodzi samotny (rozwiędziony) mężczyzna, Wiktor, zrobiony przez życie na szaro, ale i na szaro je sobie zamalowujący. A oboje w tym spotkaniu to przyciągają się – swoimi podobieństwami doświadczeń i emocji, to znów odpychają – odmiennością charakterów i oczekiwań. Są więc na scenie przytłoczeni i odpływają, śmiech i tży, nadzieja i beznadzieja. A finał – zawieszony na... końcowym dzwonku. Dzwonku do drzwi. Bo warto dodać, że rzecz zaczyna się też od dzwonka. Ramy jednego spotkania, stają się ramami dwóch losów.

Tak więc widz zostaje z pytaniem: co będzie dalej z Diną i Wiktoorem? Pogodzą się, czy znów pokłócą, połączą się czy odrącą? Wybierać można według uznania i nastroju, choć nie ulega kwestii, że siłą tego komedio-

dramatu są jego niedopowiedzenia, ale też możliwość oddzielenia fabuły od zawartych w niej pytań.

Śmiejemy się więc, a oboju bohaterom życzymy dobrze – czyli, żeby się ze sobą zesłali i żyli dalej razem – lecz kiedy poskrobimy w głębi swego serca, musimy przyznać, że to „razem” nie byłoby chyba jednak wskazane, a i wątpliwe jako happy end. Bo czy Dina i Wiktor naprawdę do siebie pasują? I czy ich różnice nie przemogą podobieństw, tak że wspólne ich życie stanie się kolejnym rozczarowaniem.

Im częściej oglądam „Przyszedł mężczyzna do kobiety” (koszalińska inscenizacja jest piątą, jaką widziałem), tym bardziej skłaniam się, niestety, do wspomnianych wyżej wniosków. Tyle że mielibyśmy wtedy do czynienia z tragikomedią, tymczasem sztuka Złotnikowa nie jest bynajmniej bajką-zasmucajką. Można sobie przecież powiedzieć, że nie ważne, czy Dina i Wiktor połączą się „na zawsze”, a choćby i na długo, ważne, żeby byli ze sobą szczęśliwi. Chociaż rok, miesiąc, choć przez tę jedną noc.

Realizm tej opowieści, jej żywość, pozostawia zresztą nie tylko pole do interpretacji i domysłów, ale i do uniwersalnego ujęcia sprawy. A w tym przypadku trzeba powiedzieć jedno: rzecz jest o nas wszystkich. Ponieważ każdy z nas tego doświadcza – wszyscy byliśmy kiedyś, jesteśmy dziś, albo będziemy samotni; i nie chodzi tu o samotność w sensie dosłownym. Samotnym można być przecież i wśród ludzi. A kto wie, czy właśnie wtedy nie najbardziej.

Wracając do tych dwóch konkretnych spektakli.

We Współczesnym mieliśmy do czynienia z parą ludzi, by tak rzec, intensywnych emocjonalnie. Poniekąd dlatego, że bohaterowie zawzięci byli swe charaktery aktorskim predyspozycjom i temperamentom aktorów. Wiktor Arkadiusz Buszko jest tylko na pozór wycofany i kruchy, w istocie bowiem niezwykle wyrazisty, a nawet trochę neurotyczny, ba! okryty cieniem tajemnicy. Dina Joanny Matuszak – przeciwnie – za jej mocno rozbujanym kobiecym ego kryje się napięcie i lęk, i delikatność.

Zderzenie tych osobowości sprawia, że szczeciński spektakl pozostawia więcej furtek niedomkniętych, a jego aura jest chwilami niepokojąca.

Przedstawienie w Bałtyckim wydaje się cieplejsze, a jego bohaterowie bardziej od szczecińskich zwyczajni. Co nie znaczy pospolici. Owszem, wielkich tajemnic nie kryją, a ich zachowanie zdaje się dość przewidywalne, ale oboje sprawiają też wrażenie ludzi bardziej serio. Mocniej osadzonych w rzeczywistości, lecz i bardziej podatnych na jej bezwzględność i okrucieństwo. Można by rzec: od życia oczekują mniej, za to rozczarowują się nim boleśniej.

Dina Zanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej to kobieta z rodzaju tych, o których mówi się, że udają paniusie, ale wiedzą, czego chcą od życia. Tyle że właśnie wobec takich kobiet – co ukazuje między innymi rola Gruszczyńskiej-Ogonowskiej – powinno się czasem odwrócić kwalifikatory, by rzec, że są one może i damulkami z pretensją, lecz skrzywdzić je wyjątkowo łatwo. Ponieważ cały ten kobiecy sztafaż i pozory niewieściej siły to dla nich kostium, pod którym kryje się ból, poczucie braku wartości i lęk o samotne jutro.



Joanna Matuszak (Dina) i Arkadiusz Buszko (Wiktor)

Fot. Piotr NYKOWSKI

Ciekawie też wypada rola Wojciecha Rogowskiego – jego Wiktor wydaje się być najpierw dość szablonowo ukazany „facetem”, mężczyzną równie nieciekawym, jak myślenie o nim. Rogowski odsłania go jednak powoli, a wtedy widzimy, że to nie tylko ktoś, komu życie rzuca kłody pod nogi, a on nad tymi kłodami jakoś tam jednak przeskakuje, ale i kawał cholestry w gruncie rzeczy, taki z cicha pęk, który w męskim towarzystwie czuje się nie tylko pewnie, lecz i potrafi w nim osiągać przewagę, postawić na swoim. Tyle że zaraz potem przegrać, jako że brakuje mu wewnętrznego przekonania co do samego siebie.

Znaczące są pod tym względem końcowe sceny spektaklu, gdy Wiktor – czując się poniżony i odrzucony – poddaje walkę i wychodzi. Wielki i „męski”, a w istocie zagubiony i słaby. Wtedy właśnie ożywa Dina – której słabość ma w sobie tyle siły, że – jak to kobieta – umie i chce wybaczać.

Stawiając oba spektakle – grane teraz w Szczecinie i Koszalinie – obok siebie, na forum tej recenzji-refleksji, pomyślałem sobie przez chwilę, jak by to było pięknie, gdyby udało się widzom – Koszalinom albo Szczecinom – pokazać je naprawdę obok siebie. Jednego wieczora albo dzień po dniu. Taki mały festiwal Simona Złotnikowa, dla porównań wszelkich i pytań różnych... O, to byłoby miłe.

Na koniec zaś zupełnie odejdę od marzeń do biografii. I zwołennikom tezy, że „Przyszedł mężczyzna do kobiety” to sztuka na wskroś rosyjska, prawdziwe zwierciadło słowiańskiej duszy, powiem tylko tyle: w roku 1990 Złotnikow wyemigrował do Izraela, i tam – zamieszkałszy w Jeruzolimie – dalej tworzy teatr. Pisał bowiem zawsze i wystawiał sztuki nie o Rosjanach z małych miasteczek w dalekiej prowincji, ale o ludziach. A ludzie przychodzą do siebie wszędzie. I na ogół pragną wtedy zostać.

ADL

Bałtycki Teatr Dramatyczny w Koszalinie – Scena na Piętrze: Siemion Złotnikow „Przyszedł mężczyzna do kobiety”, reżyseria: Zanetta Gruszczyńska-Ogonowska, Wojciech Rogowski, scenografia: Beata Pasionek, premiera: 5 października 2019.

Teatr Współczesny w Szczecinie – Teatr Mały: Siemion Złotnikow „Przyszedł mężczyzna do kobiety”, realizacja: Joanna Matuszak, Arkadiusz Buszko, współpraca reżyserska: Piotr Ratajczak, scenografia i kostiumy: Agnieszka Miluniec, Maciej Osmycki, premiera: 5 lutego 2016.